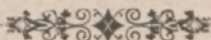


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Vitellio.

VITELLIO.

W drugiej połowie XIII wieku, jeszcze przed Kopernikiem, i przed wynalezieniem druku, wsławił się w całej Europie niepospolitą nauką swoją mąż, z kraju naszego pochodzący. Zwał się Vitellio, pisał po łacinie, jak wszyscy uczeni w owym

czasie, lecz mamy na to dowody niezbite w dziełach jego, że był Polakiem, gdyż sam to najwyraźniej twierdzi i wspomina o Polsce, swojej ojczyźnie.

Dziwna rzecz jednak, że o jego życiu nie przechowały się żadne wiadomości, nie znamy więc nawet jego imienia, nie wiemy w której części kraju się rodził i przebywał, gdzie pobierał nauki. Wize-

runek zaś, który podajemy, zapewne fantastyczny, przerobiony jest z rysunku nieżyjącego już malarza Tegazza. Wszystko, co wiemy o Vitellionie, ogranicza się na kilku szczegółach, które sam o sobie podał w swoich dziełach. Jeden z dawniejszych polskich pisarzy, sądząc, że nazwisko łacińskie Vitelliona musiało być przetłumaczone z polskiego, przezwiał go Ciolkiem i tak go powszechnie nazywano u nas przez czas długi, lecz nowsze poszukiwania nie potwierdzają tego wniosku; ponieważ sam nigdy się inaczej nie podpisywał, jak Vitellio, więc prawdopodobnie musiało to być prawdziwe jego nazwisko.

Vitellio napisał znakomite dzieło naukowe, które dotąd w rękopisach przechowuje się w bibliotekach zagranicznych w Paryżu i Florencji, drukiem zaś po raz pierwszy ogłoszone było w Norymberdze w r. 1535. Jest to Optyka, wykład nauki o świetle. Prawa, według których promienie światła padają, odbijają się i łamią, wcześniej daleko od innych gałęzi fizyki były znane. Już nawet starożytni Grecy wiedzieli o tém, że wszystkie zjawiska optyczne mogą być ściśle oznaczone według prawideł matematycznych. Ten sam pisarz grecki Euklides, którego geometrya do dziś powszechnie jest znana, napisał także Optykę i Katoptrykę. Starożytny uczony Archimedes musiał znać dobrze naukę o świetle, skoro urządził, jak wiemy z historii, olbrzymie zwierciadła palące. Ten jednak żadnych pism po sobie nie zostawił i w późniejszych czasach powątpiewano nawet o istnieniu tych jego zwierciadeł, aż póki nowożytni uczeni nie zaczęli wyrabiać podobnych.

Z pisarzy starożytnych, Grek Arystoteles posiadał niezawodnie najrozleglejszą wiedzę, i najdokładniejsze wiadomości o wszystkich zjawiskach przyrody, a zatem i o optyce. W nowszych znów czasach, po Chrystusie, Arabowie wysoko bardzo posunęli wszystkie nauki, a zwłaszcza matematykę. Jeden z tych uczonych Arabów, nazwiskiem Alhazen, napisał obszerne dzieło o optyce, streszczając w niem wszystkie wiadomości, jakie poprzednikom jego były znane i dodając do tego wiele własnych pomysłów.

Vitellio musiał znać dobrze dzieło Alhazena, gdyż w swojej „Optyce“ często prawie słowo w słowo powtarza całe ustępy z niego wyjęte, nie można jednak powiedzieć, aby wszystkich wiadomości swoich od niego zapożyczył. Każdy uczony musi korzystać z tego, czego przedtem dokonali jego poprzednicy i czerpać z ich prac, bo tym sposobem jedynie nauka posuwa się naprzód, każdy uczony do budowy ogólnej cegiełkę swoją dokłada. Vitellio nie wymyślił więc całej nauki optyki, nie poczynił w niej nawet żadnych bardzo ważnych

odkryć, niemniej jednak ogromną ma zasługę, iż zebrał porządnie, jasno i przystępnie wyłożył liczne wiadomości, w różnych dawniejszych dziełach rozproszone, a niektóre zjawiska sam nawet zupełnie nowym sposobem wyjaśnił. Tak na przykład, opisując tęczę, jeszcze wprawdzie nie wytłumaczył z całą dokładnością tego zjawiska, jak je dzisiejsza nauka wytłumaczyła, ale już je pojmował daleko lepiej od tych wszystkich, którzy przed nim o tęczy wspominali.

Vitellio w przedmowie do swojej Optyki wspomina o traktatach astronomicznych i filozoficznych, które przedtem jeszcze napisał, ale żadna z tych prac nie doszła do naszych czasów. Na szczęście też w przedmowie tej wyraźnie siebie nazywa „filius polonorum“.

MATECZKA KUROPATWA.

Po roli, gdzie żyto zielone,
 Jak spojrzeć, na którą bądź stronę,
 Już ziemię przykryło wprzód nagą.
 Powoli, skrzydółkiem się w boki
 Ujawszy, w zadumie głębokięj,
 Nie frunąc, lecz idąc z powagą,
 * * *

W zadumie, zysk wążąc i straty,
 To z boru, to z roli bogatęj,
 Wód bliskość też mając na względzie,
 W rozumie zważywszy dokładnie,
 Że nie tam najlepiej, gdzie ładnie,
 Lecz spokój a żywność gdzie będzie,
 * * *

Tam, gdzie i przeszłego roku,
 W zbóż głębiach tak, jak w potoku,
 Na wielkim, jak świat sam, łanie,
 Gdzie i zdrowia bór przyczyni,
 Kuropatwa, gospodyni,
 Obrała letnie mieszkanie.
 * * *

Więc zaraz, a wciąż bez pośpiechu,
 Co wiedzie w budowlach do grzechu,
 Gniazdeczko zakładać rozpocznie.
 Że na raz nie wiele przyniesie,
 A szukać daleko, aż w lesie,
 Więc praca nie idzie poskocznie.
 * * *

Lecz idzie; już końskim są włosem
 Żdźbła słomy związane ukosem,
 W okrągły a mocny kształt misy,
 Co w biedzie, jeśliby broń Boże
 Nawalność dotarła przez zboże,
 Nie łatwo potrzaska się w rysy.
 * * *

Aż przecie, tu siankiem, tam piórkiem,
 Tu mchem, a gdzie szparka, tam wiórkiem,
 Wysławszy chałupki téj wewnątrz,
 Już w lecie skończyła budowę,
 I zaraz, jak skoro gotowe,
 Rozsiała się z dumą na piętrze.

* * *

Czas bieży... aż jasnym porankiem,
 Wiaterek dyszący już siankiem,
 Począł dąć, trawa tchnąć, kłosa schnąć,
 I świeży, lecz jakiś zdradliwy,
 Głos z kąta wyleciał nad niwy:
 „Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!!

* * *

Dosłysz wnet człowiek wołanie,
 Jak jastrząb, w różowe zaranie,
 Gwar wionął o wschodzie po kłosach,
 Już w ciszy śmiech zabrzmiał i brzęki
 I kłosów złocistych drżą jęki,
 Żniwiarska pieśń buja po rosach.

* * *

Ptaszka umilkły strwożone,
 Zające co siły mkną w stronę,
 Lecz rzadko kto ujdzie tam cało;
 Piskłeta dziewczyna pogoni,
 Za kotem kij leci ze dłoni,
 Dognali i gwarem zawrzało.

* * *

Mateczka, gosposia na łanie,
 Jedyna wśród zgrozy nie wstanie,
 Gniazdeczko swe tuląc z rodziną;
 Piosneczka się do niej przybliża,
 I kosa mignęła w łuk chyża,
 I główkę ucięła jej siną! .. *)

M...a.

BRANIEC TATARSKI,

opowiadanie na tle historycznym osnute,
 przez Maryą Świderską.

(Dalszy ciąg).

Budzę się, oczy przecieram: wkoło mnie zamęt i rozruch, ludzie biegają w różne strony, błyskają światła wśród czarnej nocy, i znowu huk straszny, niby grzmot: raz, drugi, trzeci! To z armat strzelają! Co się stało, wołam? Nikt nie odpowiada, a tuż koło mnie przelatuje furcząc i świszcząc kula i ginie gdzieś w ciemności.

*) Zdarza się to dość często przy żniwie, kuropatwa przeto jest u ludu wzorem macierzyńskiej miłości.

Kapitan wydaje rozkazy, z trudnością dobiegam do niego i dowiaduję się, żeśmy zgubieni, bo nas opadli korsarze tureccy ze wszech stron i żadnego niema ratunku. Kilku majtków poległo, maszt główny strzaskany, i już bisurmany, dziko wrzeszcząc, cisną się na pokład.

W jednej chwili leżeliśmy powiązani na pokładzie, a Turcy łupili okręt, zabierając paki w nim zawarte, a przenosząc je szybko na swoje statki; a było ich kilka, bo ze wszech stron błyskały światła złowrogie. Ja miałem czas pochwycić Leszka małego i z nim razem leżeliśmy związani obok pęku lin zwiniętych. Poprzenosiwszy paki, korsarze zabrali się do nas i także poprzeczali na któryś ze swoich statków. Biedna „Gołębica“, co się broniła z początku, podziurawiona tureckimi kulami, szła szybko na dno. Dalej już nie wiedziałem, co się stało, bo mię wraz z innymi rzucono na dno okrętu i tylko przez drewniane jego boki słyszałem głuchy huk fali morskiej, zgrzyt łańcuchów i lin targanie.

Była to jedna z najstraszniejszych chwil w mojej niewoli... Przed kilku godzinami spokojny, szczęśliwy, płynąłem myśląc, że każda chwila mnie zbliża do ojczyzny ukochanej, a teraz? Skrępowany w ciemnicy, jakby w brzuchu ogromnego potwora, nic nie wiedząc, co się zemną stanie. I nie wiem, coby zemną było, gdyby nie to uczucie, że Bóg Wszechmocny czuwa nad nami, że i z tej ciemnicy, gdzie ciało skrępowane bez ruchu pozostaje, duch mój ku Niemu wznieść się może. Modliłem się też gorąco do Boga, do tej Matki Najświętszej, której wizerunek czułem na piersi mej, do tej pocieszycielki utrapionych, i zwolna, zwolna, nadzieja jakaś zaczęła mi wstępować w serce, a łzy gorące spływały po twarzy. Leszek, biedne dziecko, tulił się do mnie, a ja go pocieszałem, mówiąc o tym Ojcu Przedwiecznym, co nas pewno nie opuści i sam się czułem coraz spokojniejszy, silniejszy na duchu.

X. Żywcem pogrzebani. — Towarzysze niewoli. — Kozak i Grek.

Ranek zaświtał, ale do nas przez wazkie szczeliny tylko wdzierały się słońca wschodzącego promyki, które pozdrawiałem, jak zwykle, odmawiając hymn do Bogarodzicy. I w tej chwili właśnie ustało skrzypienie lin i szum około okrętu: staliśmy na kotwicy. Zaczęło się znoszenie pak, tupanie i ciężkie stąpanie na pokładzie nad głowami naszymi; wreszcie i na nas kolej przyszła: zdjęto nam więzy i wypędzono na ląd, a było prócz mnie i Leszka kilkunastu ludzi z załogi Gołębicy, kapitan i kupiec. Co z nimi się stało, nie wiem; mnie z kilku innymi zaprowadzono do wielkiej jaskini,

gdzie dostaliśmy koziego mleka i placków jakichś owsianych, twardych jak kamienie.

Byliśmy tedy w ręku korsarzy tureckich, którzy znać dobrze powiadomieni o nas przez jakiegoś zdrajcę z załogi Gołębiczy, odrazu porozdzielali nas według zysku, jakiego się spodziewać mogli. Kupca, kapitana i jeszcze jakiegoś podróżnego, mieli uwolnić za dobry okup, mnie zaś z kilku silniejszymi ludźmi zapędzili do pracy w łomach marmuru, które mieli na wyspie, do której przybyliśmy. Leszka biednego próbowali mi wydrzeć, ale chłopczyna nie chciał żadnego pokarmu do ust przyjmować, dopóki mnie znów nie obaczył, a że był warty i mizerny, dali mu jakoś spokój i został z nami. Na noc zamykali nas w jaskini, zawalając wejście wielkim kamieniem, który z zewnątrz tylko poruszać się dawał; mieliśmy prócz tego kajdany na nogach, z rana dozorczy pędzili nas do kopalni, gdzie cały dzień musieliśmy pracować.

Wyspa była prawie pusta, tu i owdzie wyrosły drzewa oliwne z szarawym liściem i cyprysy, a w jaskiniach było mnóstwo kryjówek, gdzie korsarze niewolników i złupione skarby przechowywali. Mieli też między skałami wygodną przystań, gdzie się kryły ich statki. A codzień nieledwie wyruszali na połów i przywozili ludzi, towary, czasem kobiety i dzieci małe nawet. Wszystko to jednak odbywało się dalej, z drugiej strony wyspy, a nas, w kopalni zamkniętych, zdala tylko dochodziły krzyki, przekleństwa i kłótnie bisurmanów, albo jęki i skargi jeńców nieszczęsnych, których potem jak towar rozsyłano w rozmaite strony na sprzedaż lub wymianę.

Ciężkim był los mój, a jednak nie traciłem i wtedy nadziei, chociaż niby pogrzebany w tym kamiennym grobie. Najokropniej było wieczorem, kiedy nas zawalono tym ogromnym kamieniem i zostawaliśmy w ciemnicy straszliwej, do której się żadne światło nie przedzierało. Towarzysze moi, a było nas około dziesięciu z różnych narodowości: Włochów, Francuzów, Greków, ale po większej części chrześcijan, choć trudno było to poznać, jedni klęli w okropny sposób, inni jęczeli i narzekali, ale powoli udało mi się ich namówić do wspólnej modlitwy, i znów co wieczór, jak to niegdyś w szopie u Edygi beya, śpiewaliśmy pieśń wieczorną. Jednego dnia ja intonowałem „Bogarodzico!“, z Leszkiem a inni głosem tylko wtórowali; drugiego dnia znów Włosi, majtkowie, ulubione „Ave Maris Stella“ (Witaj Gwiazdo Morza) zaczęli, i tak stopniowo wszyscy się do tego nawyczaili, a dziwnie brzmiał ten śpiew pod ziemią, w łonie kamienną skałę, gdzie nas żadne ucho

nie słyszało, żadne oko widzieć nie mogło, Boskie tylko, co i wnętrzości ziemi przenika.

A tak się jakoś stało, że ja, choć między towarzyszami najmłodszy, miałem nad nimi władzę niby, bo mnie wszyscy szanowali i nawet słuchali. Nieraz mi się udało rozbroić dwóch ludzi, co się już z pięściami na siebie rzucali, godziłem zwaśnionych, a przy robocie nie próżnowałem ani chwili, tak, że nadzorca zaczął być dla mnie ludzkim i względnym nawet. Praca zahartowała moje siły, a na duchu, Bogu dzięki, nie upadałem; parę razy przemówiłem do nadzorcy naszego śmiało, ale bez zuchwalstwa, o lepsze dla nas pożywienie i lampkę na noc, obiecując za to, że wszyscy gorliwie pracować będziemy — i udało mi się, a towarzysze jeszcze więcej mnie za to polubili. Później doszło do tego, żeśmy już bez kajdan sypiali, co było wielką ulgą, bo żelaza raniły nam nogi i spać nie dawały na posłaniach, z mchu i liści usypanych.

— Widzisz, synu, mój — rzekła pani Bohowitynowa łzę ocierając — jak to Bóg krzepi każdego, co w nim ufność ma i wszędzie uczciwie sobie poczyną; i twój los przez to stawał się lżejszym i dla innych jeszcze byłś podporą a osłodą.

— Między niewolnikami — mówił Jan — znajdował się jeden stary Kozak z nad Dniepru, z którym pokochaliśmy się bardzo, on mnie inaczej nie chciał nazywać tylko „Panyczeńku!“ rozповідаł nieraz o Siczy, o mołojcach, z którymi niejedną odbył wyprawę, aż go w końcu pochwycono ranego, kiedy w czajkach z braćmi kozakami umykał, podpaliwszy jakiś gród turecki na wybrzeżu czarnomorskiem. Stary Maksym śpiewał nam tęskne dumki, szczęśliwy, że ja go rozumiem, a wieczorami dziwne rozповідаł baśni, albo ciekawsze jeszcze dzieje młodości swojej.

Drugi jeniec, także z siwiejącym już włosem, Grek z rodu, ale mówiący i po włosku, pociągał mnie również ku sobie. Smutny był bardzo, bo mu Turcy siedzibę jego spalili, żonę i dzieci wymordowali, a jego tu w niewolę przywlekli; ale spokojny, nie szemrał, nie przeklinał, tylko czarnym okiem wpatrywał się w dal, jak gdyby tam za morzami, za chmurami, szukał ojczyzny swojej. Harmodyus, tak się zwał ów Greczyn, polubił mnie, bom mu przypominał zabitego syna w tym właśnie wieku; od niego znów nasłuchiwałem się historyj o jego pięknej ojczyźnie, o gajach laurowych i białych marmurowych pałacach, z których teraz tylko zwaliska zostały. Grek umiał z marmuru wykuwać dziwnie piękne postaci, jakby żywe i znajdował w tém pociechę, choć mu korsarze zabierali wszystkie roboty, żeby je potem sprzedawać gdzieś daleko. Maksym znów za pomocą żółwiów skorupy urządził sobie jakąś lirę czy teorban, na którym

wygrywał wieczorami, przyspiewując swoje dumki kozaczce. I tak w niewoli nawet życie znośniejszém się stawało.

XI. Wielkie odkrycie. — Dowcipny Beppo. — Pracujemy jak krety. — Podziemie. — Wiewiórka.

— Kilka już miesięcy przeszło tój mojej niewoli, gdy jednéj nocy, a mieliśmy już wtedy lampkę zawieszoną u kamiennego sklepienia jaskini naszej, obudził mnie ze snu jeden z towarzyszy, Włoch, dawny majtek Gołębicy, a dziwnie sprytny chłopak.

— Chodźno pan — mówił do mnie z cicha — mam coś ciekawego do pokazania! — i prowadząc mnie w głąb jaskini, która się z jednéj strony przedłużała w ciemny i wązki niby korytarz, odsunął na bok kilka kamieni i ukazał mi szczelinę w kamiennéj ścianie. Niewielki to był otwór, o parę stóp nad ziemią, ale nachyliwszy się nad nim, czuć było jakiś powiew chłodnego powietrza. Zdziwiłem się, bom tego nigdy przedtém nie był zauważył, a Włoch szybko i gadatliwie, a przytém po swojemu rękami wymachując i oczy przewracając, jak to oni czynić lubią, zaczął mi tłumaczyć, że on tę dziurę oddawna wyszperał i już ją nawet trochę rozszerzył, ale dopiero teraz zmiarkował, że to musi być otwór, prowadzący do naszej kopalni, bo w tę stronę był zwrócony.

— Trzeba — dodał — lepiej się o tём przekonać i dla tego staraj się pan jutro z całej siły bić kilofem (rodzaj toporu górniczego) w tę ścianę, obok której Harmodyus zwykle pracuje. Ja udam chorego i zostanę tutaj, a będę dobrze nasłuchiwał. Jeżeli tak jest, jak myślę, to, per Bacco! (ulubione zaklęcie Włochów) musimy się ztąd wykopać, jak krety i uciec tym przeklętym szatanom, co nas żywcem zagrzebali.

Trudno mi było z początku uwierzyć w to i zrozumieć pomysł dowcipnego Beppa (to po włosku znaczy Józiek) ale nazajutrz chłopak wywił się na posłaniu swoim, krzycząc w niebogłosy tak, że dozorca musiał uwierzyć, iż mu straszne bóle szarpią wnętrzności i nie wypędził go na robotę, tylko zostawił w jaskini ze dzbankiem wody i kawałkiem placka. Wieczorem, kiedyśmy wrócili, leżał jeszcze Beppo, jęcząc z przewróconemi oczami, że mu tylko białka widać było, ale zaledwie towarzysze posnęli, on znów wśliznął się do mnie i podskakując, jak szalony, szeptał radośnie:

— Słyszałem! słyszałem wybornie bicie w ścianę dziś rano! Prawda, że się wygłodziłem, jak pies, ale warto było! Będziemy wolni, tylko musisz mi pan pomódz. Wszystko będzie dobrze.

— Zaczęliśmy już we dwóch oglądać ukryty w skale otwór i pokazało się, że nie trudno było-

by wykruszać zmięklą od wilgoci ścianę i wydrążyć coraz głębiej szczelinę, która musiała się przedłużać aż do naszej kopalni, jak twierdził Beppo. Kiedy go spytałem, zkad mu ta myśl przyszła, sięgnął do swych w gęste kędziory zwiniętych włosów i wydobyl z nich malutki jakiś przedmiot. Przy słabém świetle lampki, z trudnością poznałem, że to była maleńka busola, jak te, których używają marynarze, żeby się po morzu kierować, bo jest tam oprawiona igielka, której jeden koniec zawsze ku północy wskazuje. Beppo, choć młody, ale rozmaite już miewał przeprawy i nauczył się różnych figlów i podstępów, któremi sobie wszędzie poradzić umiał. Zepsuty był bardzo, ale jednak i w nim tkwiła jakaś pocziwa iskierka, bo kiedy mi mówił o swojej matce, co gdzieś tam w Wenecyi na Lido za nim płakała, miał sam łzy w oczach. Mówił mi z najzimniejszą krwią, że jak tylko mu się udało coś ładnego lub kosztownego ukraść dawniej, to robił piękny podarek najprzód matce, a potem Madonnie Ś-jej, żeby mu dopomagała nadal.

— Ach jakiż to niegodziwy człowiek! — wykrzyknęła Halka, nie mogąc już wytrzymać — to gorzej niż prawdziwy poganin.

— Zapewne, że gorzej, ale Beppo był bardzo zaniedbany i nikt go nie oświecił, żeby poznał, co złe a co dobre. Mnie się nieraz udawało go przekonać i od złego odprowadzić; długie z nim toczyłem rozmowy, a że był sprytny i żywy, jak ogień, więc wszystko w lot pojmował. Teraz jemu zawdzięczaliśmy plan, do wykonania którego wszyscy się zabrać musieli. Najprzód Maksym i Harmodyus zostali przypuszczeni do tajemnicy, potem wszyscy się o niéj dowiedzieli, gdyż wspólnych sił potrzeba było do wykonania długiej, trudnej a mozolnej pracy.

Trzeba było takiej nadziei, jaką dla nas świeciła myśl o swobodzie, żeby się porywać na podobne dzieło. Dość już trudności przedstawiało wyłobienie skały, prawie bez narzędzi potrzebnych do tego, a cóż robić z ziemią i gliną, którą ztamtąd wydobywaliśmy? Wysypana na ziemi w jaskini naszej, zwróciłaby uwagę stróżów, bo się różniła od kamienia, w jakim kryjówka nasza wykuta była. Po długich a cichych naradach, stanęło na tём, że pracowaliśmy kolejno po dwóch w nocy, nad ranem zaś zakrywaliśmy starannie otwór, a ziemię wykruszoną chowaliśmy pod ubranie, każdy po trochu i tak ją wynosiliśmy z sobą do kopalni, gdzieśmy ją ostrożnie wysypywali. Łatwo uwierzyć, z jaką to nam przychodziło trudnością, ale pracowaliśmy stale, cierpliwie, niczém się nie zrażając.

Trwało to bardzo długo; przez ten czas kilku

towarzyszy nam ubył, bo ich korsarze gdzie indziej zabrali, przybyło zato kilku nowych i tak przeszło blisko dwa lata. Czasem napotykalśmy w skałe takie twarde miejsce, że z największym wysileniem trzeba było kamień rozbijać narzędziami, zręcznie jakoś wykradzionymi przez Beppę z kopalni. Chłopak ten dziwów dokazywał, żeby nasze przedsięwzięcie do skutku doprowadzić; kiedyś już o mało go nie wzięto na galere, gdzie musiałby łańcuchem przykuty wiosłem robić, ale jak zaczął po swojemu chorego udawać, musieli go zostawić. Przy kamieniach teraz wszyscy dobrze pracowali i kłótni też coraz mniej było; dozorczy sądzili, że ja się do tego przyczyniam i dla tego może nie ruszali mnie z miejsca. Nie byłoby to tak dobrze szło, gdyby nie nadzieja, co wszystkich podtrzymywała i tak postępowała praca w naszym podziemiu, które się coraz dalej przedłużało.

Jednej nocy grzebiąc tam, natrafiliśmy na dużą dosyć pieczarę, w bok idącą, wprawdzie od naszego korytarza, ale ta nam się wybornie przydała na wysypywanie ziemi, której już nie trzeba było wynosić tak mozolnie w odzieniu naszym. Do roboty przyswiecaliśmy sobie małemi lampkami, które Harmodyus wyłobił z marmuru, a my napełnialiśmy oliwą, od jedzenia potrosze zostawianą. Raz, pamiętam, byliśmy w wielkim strachu: wśród ciszy nocnej rozlegały się uderzenia nasze o skałę i korsarze musieli je także usłyszeć, z rana bowiem dozorca pytał, czyśmy w nocy nie uważali jakiego huku podziemnego. Beppo, nie tracąc także przytomności, odezwał się zaraz, że on to już nieraz słyszał i że pewnie musi się przygotowywać jakie trzęsienie ziemi, albo coś podobnego, bo wtedy zawsze z pod ziemi huk słyhać. W tamtych krajach to nic dziwnego, ba, nieraz nawet tak bywa, że cała wyspa zapadnie się w morze, a znów w inném miejscu wynurzy się nowa *).

I Turcy jakoś uwierzyli temu, ale my byliśmy ostróźniejsi odtąd i praca jeszcze powolniej postępować mogła. A jakie my tam dziwne rzeczy znajdowaliśmy pod ziemią! Były muszle i ości rybie skamieniałe, a w pieczarze znaleźliśmy dużo kości ogromnych, jakby od wielkich zwierząt jaskinś; były nawet i ludzkie, lecz musiały być bardzo dawne, bo stwardniały zupełnie na kamień. Beppo, grzebiąc między temi resztkami, wyciągnął duży, niezgrabny topór, ale nie z żelaza, tylko z brązu i drugi mniejszy, z ostrego kamienia zrobiony. Uważaliśmy to za prawdziwy dar Boży, i przydały się nam oba topory wybornie do roboty naszej. Korytarz nie mógł być wysoki, więc trze-

ba było rąbać lub kopać klęcząc, otwór zaś przedłużaliśmy w stronę kopalni, z kąda zalaatywał świeży powiew wiatru; to nam pozwalało oddychać swobodnie. Dochodził też szum morza coraz lepiej; widać żeśmy się dobrze kierowali, ale nie wiedzieliśmy z pewnością, w którém miejscu kopalni kończy się podziemny kanał.

Beppo i na to znalazł sposób. Miał on wiewiórkę przyswojoną, którą zawsze z sobą nosił w rękawie, albo na głowie. Jednego dnia zbliżył się do wielkiego dołu w kopalni i ostrząc topór o kamień, na brzegu leżący, opuścił go niby nie chcący. Nadzorca, stary Turek ogromny, jak olbrzym, ale kulawy, bo mu nogę kiedyś kula urwała, przyskoczył i uderzył po plecach niezgrabiasza za szkodę wyrządzoną, ale ten niezmiészany, zaczął prosić, żeby mu pozwolili się spuścić do dołu, a on topór odnajdzie. Liny były pod ręką, bo ich używano w kopalni do dźwigania marmurów; za chwilę nasz Beppo, zawieszony, jak ptak w powietrzu, zniknął w ciemnym dole. Trudno go było dojrzeć w głębinie, ale niedługo dał znać krzykiem, żeby go wyciągnąć napowrót i zjawił się zdrów i cały z toporem uwiązany u pasa. Przez cały dzień pracował gorliwie, śpiewając i podskakując, jak gdyby go co dobrego spotkało.

Wieczorem, jak zwykle, zapędzono nas do jaskini, ale zaledwie kamień się zawalił, Beppo, nie czekając nocy, rzucił się do otworu i niebawem wyskoczył, unosząc nad głową wiewiórkę, którą całował i pieścił, a przytém rzucał się jak szalony z radości.

— Co się stało — pytamy? i okazuje się, że dowcipny Włoch po to tylko spuścił się do dołu, aby się przekonać, czy kanał ów naturalny z naszej jaskini otwiera się rzeczywiście w owym dole, a natrafiwszy na otwór podobny, wpuścił doń zręcznie swoją wiewiórkę, zasłaniając wejście tak, żeby już wrócić nie mogła. Biedne zwierzątko wśliznęło się głębiej i póty się czołgało, aż natrafiło na korytarz przez nas wykuty, gdzie ją właśnie Beppo znalazł. Teraz już nie było wątpliwości, że praca nasza na coś przydać się może, z podwójnym też zapałem wzięliśmy się do dzieła.

XII. Wielkie dzieło ukończone. — Nowi towarzysze. — Łódź zbawcza. — Noc upagniona. — Nowe trudności. — Poświęcenie. — Znowu niewola.

— Nie mogę pojąć — odezwała się pani Bohowitynowa — jakim sposobem myśleliście uciekać, nawet gdyby się udało dostać do tej kopalni; przecież wyspa należała do tych strasznych korsarzy, a statku nie mieliście, żeby ztamtąd wypłynąć.

*) W naszym już XIX wieku było podobne zjawisko na Archipelagu z wyspą *Santorjnom*.

— Właśnie, mateńko, nad tém najwięcej głośno sobie łamaliśmy, ale od czegoż Beppo, który na wszystko poradzić potrafił. Jednej nocy, a było to już przeszło dwa lata, jak pracowaliśmy w podziemiu naszém, ja i Beppo z siekierami w ręku rozbijaliśmy skałę wapienną, kiedy nagle bryła cała usunęła się przed nami, chłodne powietrze wionęło prosto w twarz, a przed oczami nam zabłysło światło jakieś. O Boże Wielki! byliśmy już przy tym dole, nad którym wykuta galerya marmurowych łomów otwierała się wprost ku morzu. I tamtędy z błękitnego nieba zabłysła gwiazdka, jak gdyby nam drogę wskazać chciała. Ja klęcząc wzniosłem ręce do nieba, łzy mi twarz zalewały, a usta szeptały słowa dziękczynienia dla Wszechmocnego. I Beppo padł twarzą do ziemi, modląc się i płacząc, i śmiejąc zarazem.

Łatwo się domyśleć, jak się wszyscy towarzysze radowali, jak jeden po drugim wślizgiwali się do otworu, żeby spojrzeć na niebo i odetchnąć pełną piersią powietrzem, co od morza wiało. Trzeba było tém większej mocy, żeby ich utrzymać w spokoju i cierpliwości, nim się da urządzić coś dla wyprowadzenia nas z tej korsarskiej kryjówki. Kilku z towarzyszy, niosąc kamień do przystani, przypatrzyło się już cokolwiek wyspie i jej wybrzeżom; teraz Beppo wymykał się co noc, żeby lepiej zbadać okolicę.

(D. c. n.)

MUR CHIŃSKI.

Dzieje Chińczyków często w historii powszechnej zupełnie bywają pomijane, chociaż naród ten niezmiennie dawno, od czasów niepamiętnych, wyszedł ze stanu barbarzyństwa, a nawet do wysokiej doskonałości doprowadził u siebie rolnictwo, rozmaite rzemiosła i wynalazki.

Ale Chińczycy żyli zawsze odosobnieni od innych ludów, nigdy się nie wydawali poza granice swojego kraju i do siebie nie wpuszczali cudzoziemców, nie chcąc mieć z nimi żadnych stosunków, nawet handlowych. To sprawiło, że nie mogli ani na inne narody wywierać żadnego wpływu, ani też sami w czémkolwiek od nich skorzystać, a doszedłszy do pewnego stopnia oświaty, już dalej na krok posunąć się nie umieli i całe wieki tak przetrwali bez najmniejszego ulepszenia w naukach, przemyśle lub obyczajach.

Któż nie słyszał o murze chińskim? Weszło niemal w przysłowie wyrażenie: odgraniczyć się murem chińskim od świata i ludzi. Sławny ten mur, na rycinie przedstawiony, wybudowany był w III wieku przed Nar. Chrystusa przez cesarza

Tsin-Chi-Hoang, założyciela dynastyi Tsin, od której całe państwo przybrało tę nazwę; ztąd pochodzi i nazwa Chin u nas. Władca ten chciał tym sposobem zabezpieczyć kraj od napadów nieprzyjacielskich. Hordy dzikich, koczowniczych Tatarów, spadały jak szarańcza od granic północy i pędowały w Chinach, pustosząc wszystko po drodze, a Chińczycy, ciągłemi domowemi rozterkami wycieńczeni, nie mogli się im obronić.

Olbrzymi mur chiński, który do cudów świata był zaliczony, ma 300 mil geograficznych długości, poczyną się w pustyni Gobi, gdzieśniedzie przerywany wysokimi górami, ciągnie się w kierunku północno-wschodnim aż ku morskim wybrzeżom. Podwaliny jego są z kamienia, z olbrzymich brył skalnych, mur sam, zbudowany z cegieł, kamieniami przykrytych, dochodzi 26 stóp wysokości, 16 grubości, ma strażnice wysokie na 40 stóp, w odstępach wynoszących odległość dwóch rzutów strzały i liczne bramy z żelaza kute. W wielu miejscach mur przeprowadzony jest przez znaczne nierówności gruntu, wzgórze i wąwozy, przechodzi też po mocnych mostach przez rzeki i strumienie. Około XV wieku ery naszey miał być odbudowanym na nowo z dawnych, nawpół rozwalonych szczątków. Podanie niesie, iż przy pierwotnej budowie muru, robotnik, który nie spoił tak dokładnie materiałów, aby w nie gwóźdź nie mógł się wcisnąć, śmiercią był karany.

Nie powstrzymał jednak potężny ten mur najeźdców tatarskich, wpadali oni ustawicznie do Chin i strasznie je pustoszyli, a przy końcu IV wieku ery naszey, korzystając z wewnętrznych zawichrzeń, opanowali północną część kraju i własno tam założyli państwo, zmusiwszy władcę południowego do opłacania haraczu. Chińczycy wezwali na pomoc Mongołów, ale źle na tém wyszli, gdyż ci pod wodzą dzikiego władcy Dżengis-kana, po wypędzeniu Tatarów północnych, sami kraj cały opanowali i jednego ze swych dowódców, Kublajkana, na tronie chińskim osadzili.

Zwycięzcy ci wkrótce przyjęli obyczaje chińskie, ale za panowania owęj mongolskiej dynastyi wstęp do kraju stał się łatwiejszy dla cudzoziemców. Wtedy to sławny podróżnik, Wenecyanin Marco Polo, zwiedził Chiny w połowie XIII wieku i pierwsze dokładniejsze wiadomości o tym kraju przywiózł do Europy.

W XIV wieku Chińczycy wypędzili Mongołów, nie długo jednak panowała dynastya krajowa. Cesarz, chcąc przytłumić jakiś rokosz, wezwał znów pomocy owych północnych Tatarów, czyli Tunguzów, wygnanych niegdyś przez Dżengiskana i ci opanowali tron chiński, który dotychczas w ich ręku pozostaje.

MITOLOGIA SŁOWIAŃSKA.

Uroczystości letnie.

Nieraz już powtarzaliśmy, że tak bóstwa pogańskie, jak i obrzędy na ich cześć odprawiane, zwykle stosowały się do zjawisk przyrody. Każda pora roku miała właściwe sobie uroczystości. Opowiadaliśmy już, jak to w zwyczajach, które i dziś przywiązane są do Świąt Bożego Narodzenia i Wielkiénocy, przechowały się starożytnie zabytki obrzędów pogańskich, w porze zimowej i wiosennej obchodzonych. Zawsze też głównem i najważniejszém bóstwem, czczoném pod rozmaitemi postaciami, było słońce, które wszystko do życia pobudza. Według pierwotnych, dziecinnych wyobrażeń pogańskich naszych przodków, słońce, w ustawicznej walce z ciemnością, odradza się w czasie przesilenia zimowego, rośnie wciąż i potężnieje, aż gdy nastaje przesilenie letnie, dochodzi do najwyższego szczytu sił i rozwoju. Ważna ta chwila święcona była uroczyscie w dniu 23 Czerwca, to jest w wigilią Ś-go Jana.

Wszystkie zwyczaje ludowe, wszystkie podania, mające związek z tym dniem, owe Sobótki, palenie ognia, śpiewanie pieśni, puszczanie wianków na wodę, bajka o paproci, są to wszystko pamiątki bardzo dawnych czasów, uroczystości i obrzędów pogańskich. Zwyczaje te przechowały się dotąd z małemi odmianami we wszystkich krajach słowiańskich. Wszędzie najważniejszą rzeczą jest palenie ognia, który ma zapewne wyobrażać palące promienie letniego słońca. W pieśniach dawnych występują nazwy mitologiczne: Łada, Did-Łada, Kupało, oznaczające bóstwa pogańskie. Bogini Łada ma to być podobno toż samo, co Zorza, lub grecka Wenera. U Serbów i Słoweńców jest podanie, że słońce w czasie letniego przesilenia staje na niebie przestraszone i nie wie co z sobą robić, aż nadchodzi czarodziejska istota, wila, dziewa, a właściwie owa Łada, i wskazuje mu dalszą drogę. W starych kronikach odszukano znów wzmiankę o bóstwie urodzajów, zwaném Kupało, któremu cześć oddawano paleniem ognia.

Rozmaicie tłómaczą pochodzenie wyrazu *Sobótki*. Najprawdopodobniej nazwa ta powstała już w czasach chrześcijańskich, gdy przez pogardę owe pogańskie obrzędy do żydowskiego sabatu porównywano. U Słowian południowych ognie świętojańskie nazywane są *kres*, co zapewne pochodzi od krzesać, wskrzesić. W niektórych okolicach na Rusi dotąd jeszcze do zapalania stosu sobótkowego dobywają ogień prastarym obyczajem przez tarcie dwóch kawałków drzewa o siebie.

Czynność ta zwykle powierzana jest starcom, ale obrzęd sam, gromadzenie stosów drzewa, śpiewanie pieśni wesołych, skakanie przez ogień, jest udziałem młodzieży. Poważniejsi mężczyźni i kobiety przypatrują się tylko z boku tej zabawie. Zapewne też i w tych czasach dawnych, gdy jeszcze zabawa była za obrzęd religijny uważana, przeznaczano do tego młodzież, będącą obrazem pełni życia, tak samo, jak słońce letnie najwyższy rozwój sił przyrody wyobraża. Młodzieńcy i dziewczęta, przy obchodzie sobótek, przybierają się w stroje świąteczne, przepasują się wonnemi ziołami, a najważniejsze przytém znaczenie ma bylica. W niektórych okolicach, nietylko ludzie skaczą przez ogień, ale i bydło przezeń przepędzają.

Z dawnych pieśni wnosić można, że obchód Sobótek był uważany za święty obowiązek i nikt nie powinien był się od niego uchylać, gdyż straszne klątwy i przepowiednie wielkich nieszczęść grożą takim, co nie wyjdą: „na trawę, na zieloną, na ulicę, na szeroką” albo przynajmniej, jak mówi inna piosenka: „Kto na Sobótcie nie będzie, główka go wciąż boleć będzie”.

Za czasów pogańskich składano też zapewne ofiary bóstwom słońca w czasie tej letniej uroczystości. Na Górnym Szląsku jest dotąd zwyczaj pieczenia ciasta na dzień Ś-go Jana, a ciasto to nosi dziwną i charakterystyczną nazwę: *słończęta*, co przypomina zdrobniałe nazwy: kurczęta, kocięta; więc możnaby sądzić, że słończęta to mają być dzieci słońca, bo są pieczone ze zboża, które wyrość i żyć nie może bez słonecznych promieni.

W gub. Podolskiej, w dawniejszych nieco czasach, ze trzydzieści kilka lat temu, byliśmy nieraz świadkami obchodu świętojańskiego, który w tych okolicach zwany jest *Kupała*. Młode dziewczęta ścinają dużą gałąź zieloną, a czasem całe małe drzewko, owijają je u dołu słomą i wsadzają w ziemię. Potém wzięwszy się za ręce, tańczą w około, śpiewając piosenki, z których na nieszczęście nic nam nie pozostało w pamięci, oprócz często powtarzającej się zwrotki:

Kupało, Kupało,
A hdeżeś buwało? (a gdzieżeś bywało?),

Bardzo byśmy byli wdzięczni, gdyby ktoś z czytelników naszego Pisma, zamieszkały w gub. Podolskiej lub Kijowskiej, zechciał nam donieść, czy święto Kupały i dziś się tam obchodzi tak samo, jak za czasów naszej młodości?

Lud do dziś jeszcze różne zabobony przywiązuje do ognia sobótkowych i do ziół rozmaitych, kwitnących około Ś-go Jana. Węgły i popiół ze zgłiszczą mają niby to niszczyć robactwo, chronić bydło od zarazy, domy i gumna od piorunów, za-



Mur chiński (str. 423).

bezpieczać pola od gradu. U Czechów i Słowenów rozrzucają ten popiół i węgle po polach, a niedopalone głównie wtykają za strzechy i wkopują pod progiem. Sama bytność przy sobótkach, według wyobrażenia ludu, chronić ma od różnych chorób, szczególnie jeśli się kto opasze bylicą. I rosa poranna w dzień Ś-go Jana ma posiadać różne cudowne własności, to też w wielu okolicach kraju naszego zbierają w tym dniu o świcie zroszone zioła i kwiaty, zwłaszcza tak zwane świętojańskie ziele, Dziurawiec, (*hypericum*) suszą je starannie, a potem okadzają niemi chorych, lub bydło w czasie zarazy, albo rzucają w piec, gdy burza się sroży, aby odwrócić pioruny. Nakoniec kąpiel dnia tego jest często uważana za uzdrawiającą, z wody też wróżą przyszłość, ztąd powstało puszczanie wianków na Wiśle.

Najdziwniejsze jednak rzeczy, według wyobrażenia ludu, mają się dziać w noc świętojańską w powietrzu, w wodzie, na ziemi i pod ziemią. Drzewa prowadzą z sobą rozmowy, skarby, ukryte w głębi ziemi, wychodzą na jej powierzchnię, a o samej północy zakwita ognistym, cudnym kwiatem paproć; kto ten kwiat posiedzie, może z jego pomocą odmykać wszystkie zamki, odkrywać skarby podziemne, może się stać niewidzialnym, a przytém sam widzieć wszystko, przebijając wzrokiem najgrubsze mury, ziemię, skały i unika niebezpieczeństw wszelkich.

Te zwyczaje ludowe podały przedmiot Kochanowskiemu do pięknego poematu „Sobótki” a poeta współczesny, Seweryn Goszczyński, na tém tle i pod tym samym tytułem osnuł jeden z najwspanialszych swoich utworów.

KORESPONDENCYA WIECZORÓW RODZINNYCH.

Zakopane 17 Czerwca.

Szanowna Redakcyo!

Przepraszam bardzo, że tak długo nie odpisałem i nie uczyniłem zadość życzeniu Redakcyi, która chciała mieć wiadomości z Tatr.

Tego roku masy śniegu leżały aż do miesiąca Maja i dochodziły wysokości czyli głębokości dwóch metrów. Na domiar złego mieliśmy jeszcze śnieg świeży około 25 Maja, kiedy to w okolicach Warszawy już się o śniegu ani marzy. Wprawdzie ten śnieg znikł w dwa dni, splukany przez słońce, jednak wcale miłym nie był. Na wysokich jak Świnnica szczytach jeszcze w szczybach i szczelinach dotąd dość śniegu, ale już na niższych, jak Gewont, znikł całkiem.

Mieliśmy też tego roku parę mocnych halnych

wichrów, że się dom nasz trząsł i we wsi szkody wyrządzone przez nie zostały. Górale teraz właśnie wypędzają bydło na hale, gdzie już przez cały rok pozostanie, to jest tylko przez całe lato.

Tu w Zakopanem w tym roku przybyło dużo nowych budynków. Nie licząc już wielu chat góralskich, wymienię co najważniejsze: Nasamprzód obok nowego kasyna mieści się w dużym, nowo wystawionym gmachu, szkoła snycerska, a miejsce to jest dla niej bardzo dobre, bo leży w środku wsi, nie jak dawniej w Kuźnicach, daleko od gości; przytém ma tam obszerny i wygodny lokal. Powtóre na Krupówkach jest nowy dom pocztmistrza tutejszego, pana Fingera, gdzie dla gości do odnajęcia sporo pokojów i przytém ogródek; a po trzecie w samym środku wsi (w tak zwanym rynku zakopańskim) nowy dom piętrowy kupca zakopańskiego, pana Riegelhaupta.

Tutaj w górach teraz znajdujemy dużo kwiatków, które suszymy i układamy w zielnik. Tak np. dużo bardzo znajduje się tu różnych goryczek *gentiana*; ale to tych tak, jak piasku w morzu dużo. Dużo też jaślinku alpejskiego, *Soldanella alpina* i innych górskich kwiatów, jak storczyków itp. Znaleźliśmy nawet jeden Szafran *Crocus vernus* (o którym była wzmianka w Wieczorach Rodzinnych w nr. 27 w Pogadance o roślinach cebulkowych) ale tylko jeden egzemplarz. Są tu także na wyższych szczytach kwiaty, rosnące tylko w górach, jako też i na północy w Syberyi. *Dryas octopetala*, dryada ośmiopłatkowa i *Ranunculus pyrencyus*, jaskier, śnieżnej białości. Także i „gruszyca jedno-kwiatowa“, *pyrola uniflora*, tu się znajduje, tudzież pierwiosnek górski *primula auricula*. Kończę mój list, więcę tu o Zakopanem niema co mówić, oprócz tego, że często wieczki robimy, a jeszcze częściej deszcz pada.

W Wieczorach bardzo mi się podoba powieść „Braniec tatarski“ pani M. Świdorskiej i „Polowanie na girafy“.

Adam Kr.

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Dalszy ciąg).

W godzinę wykopali dwie jamy głębokie o dwa dzieścia kroków od brzegu, aby się w nich ukryć. Gdy noc zapadła, myśliwi schronili się każdy w swoją zasadzkę i czekali.

Pierwsze zwierzęta, jakie się ukazały, były to antylopy małego jakiegoś gatunku. Myśliwym

nie brakło zżywności, przeto nie przeszkadzali ślicznym stworzonkom napić się spokojnie do woli. Nagle powstał popłoch między stadem, które w jednej chwili pierzchnęło. To lampart skoczył na jedną antylopę, cicho się zakradłszy. Gdy inne biedne zwierzęta uciekły, on zarzucił swą zdobycz na grzbiet i zabierał się także w swoją drogę. William nie dał mu przecież czasu na to; celna kula głęboko zagrzeźła mu w boku. Ze strasznym rykiem lampart podskoczył, stanął na tylnych łapach, postąpił tak kilka kroków i rozciągnął się na ziemi. Ciemność była głęboka, strzał padł prawie na domysł tylko, ale i w jasny dzień nie mógł być celniejszym.

Następnie szły pić do jeziora hyeny, szakale, i tym podobne zwierzęta, na które szkoda było nabojów. Przez dość długi czas myśliwi za całą rozrywkę musieli słuchać obrzydliwego wycia i wrzasku tej gromady żarłoków, rozkoszujących się padliną.

— A to się pięknie bawię — mrucał dąsając się Henryk — oczy mi się same zamykają do snu.

W godzinę później już i Willam nużyć się zaczął, a godniejszej strzału zwierzyny jak nie było, tak nie było. Dwaj przyjaciele znudzeni beczynościami, już zamierzali wydobyć się z ukrycia, i pójść do ogniska, gdy ciężkie stąpania dały się słyszeć. Oczy tylko ukazując ze swoich kryjówek, młodzi myśliwi wpatrzyli się badowczo w cienie, w kierunku owych stąpań. Dwoje wielkich zwierząt zbliżało się ku jezioru.

— Kwagi! *) szepnął William.

— Tak, — odpowie Henryk. — Palnijmy do nich. Nieszczerólna to zdobycz, ale się rozbudzimy trochę.

William, zawsze gotów, strzelił pierwszy. Zwierzę podskoczyło i rzuciło się w jezioro. Drugie tymczasem, porwało się do ucieczki, gdy przeleciała kula Henryka. Zdawało mu się, że chybił, ale wkrótce zwierzę padło na ziemię, wydając głos dobrze znany myśliwym, lecz wcale nie głos Kwagi. Bez tchu prawie, dwaj młodzieńcy wyskoczyli z kryjówek, biegnąc ku powalonemu zwierzęciu. Był to najpospolitszy koń.

— Koń! — wykrzyknął William schylony, aby mu się przypatrzyć. — To nie mój, dzięki Bogu! i nie twój!

— Ach, ty samolubie! — rzecze Henryk. — Chociaż nie nasz, ten koń miał jednakże pana; widzę ślady siodła na jego grzbiecie.

— To prawda; w każdym razie szczęście, że

nie jest mój! — mruknął William, który cenił swego wierzchowca prawie na równi ze strzelbą.

Obaj poszli ku jezioru, gdzie na mieliznie dogorywał drugi koń. Ponieważ był śmiertelnie ranny, więc druga kula skróciła jego męczarnie.

Zdumieni, rozmyślając na tém, czyje te konie być mogły, dwaj strzelcy wrócili do ognia i Konga, czując, że już i tak zanadto tej nocy wymordowali stworzeń żyjących.

Nazajutrz o świcie ruszyli wdalszą drogę, i idąc z biegiem strumienia, po dwóch godzinach dosięgli nareszcie rzeki. Postanowili tam pozostać do dnia następnego. Konie spętano, znużeni myśliwi rozciągnęli się w cieniu czułka i zasnęli. Na gwałtowny krzyk Konga i szczekanie Szukaja zerwali się na równe nogi. Otaczała ich gromada krajowców, złożona z kilkudziesięciu ludzi zbrojnych w łuki, strzały i włócznie. Postawa tych przybyszów wskazywała najgroźniejsze zamiary. Młodzi myśliwi schwycili za broń, gotowi drogo sprzedać życie.

XXVI.

W niewoli.

Kongo rzucił się do Williama, błagając go, aby się nie bronił. Tak mu gwałtownie o to chodziło, że aż wyrwał Henrykowi strzelbę, którą ten już podnosił do strzału.

— Trucizna! jad! strzały! włócznie! wszystko jad! — krzyczał Kongo, odchodząc prawie od zmysłów.

Zwyczaj plemion afrykańskich zatruwania broni był dostatecznie znany młodym myśliwym, aby zrozumieli przestach Konga. Z pewnością nie brakło im odwagi, ale w tej chwili mieli przed sobą nieprzyjaciela z bronią straszniejszą daleko od ich własnej, zwłaszcza na małą odległość. Najlżejsze ukłucie sprowadzało śmierć nieuchronną w strasznych męczarniach. Szaleństwem było mniemać, że potrafią zwyciężyć czterdziestu dzikich, nie otrzymawszy wzajem ani jednego draśnięcia. Myśliwi przeto usłuchali błagań Konga i złożyli broń.

Widząc, że się rzecz odbywa bez walki, Kongo uspokoił się i z niezłą wcale miną zapytał dumnie nieprzyjaciół, czego chcą i dla czego grożą?

Jeden z napastników, zdający się być dowódcą, wystąpił wtedy. Zaczął mówić, a to co powiedział zaniepokoiło Konga okrutnie. Wódz mówił, że stracił dwa konie, które poszły pić wodę w jeziorze. Te konie były mu dane w podarunku, a ciężkie zmartwienie po ich stracie osłodzić mu może jedynie ujęcie tych, którzy, jak sądził, z dobrej woli pozbawili go jego szacownej własności.

Myśliwcy odpowiedzieli przez Konga, że konie

*) Kwaga. zwierzę tak zwane od głosu, jaki wydaje przypominającego trochę szczekanie psa. Kwaga (Equus Quagga) jest trochę podobna do konia i do osła.

zabili przez prostą pomyłkę wśród ciemności nocy, i że gotowi są wynagrodzić jak najwspaniałej ich stratę właścicielowi.

Czarny wódz zapewnił, że zgadza się na to i nie więcej nie żąda. Potem zaprosił myśliwych do swęj wioski, aby tam umówić się o to wynagrodzenie.

Natychmiast udano się w drogę w górę rzeki, ale postawa silnego orszaku dzikich i wszystkie okoliczności dowodziły, że młodzi nasi przyjaciele uważani byli za więźniów.

— Niestety! — mrucał Henryk — ciężka będzie sprawa, ci łotrzy nie zadowolnią się łada czem; może zechcą naszych koni w zamian.

— Nigdy! — wykrzyknął William, zapominając zupełnie, że sam znajduje się w niewoli i że dzicy już zabrali te konie, których niby to „nigdy” dostać nie mieli.

O milę w górę rzeki ujrzano gromadę chat, z których nagle wyległo mnóstwo kobiet i dzieci; było to siedlisko napastników.

Nie tracąc czasu, wódz zagał sprawę. Zdawał się śpieszyć, niemniej i młodzi myśliwi radzi byli by wydostać się z pomiędzy dzikich. Kongo wezwano na tłómacza.

Czarny wódz kazał mu uwiadomić panów, że konie zabite miały nieocenioną wartość, że podarowane mu były przez drogiego przyjaciela, handlarza niewolników, Portugalczyka, że nareszcie owe konie były najlepsze w świecie i żadnymi innymi nie można było doskonałości tych zastąpić.

— Bardzo dobrze — rzekł William, wysłuchawszy przekładań Kongo — niechże poda cenę swoją.

— Ta paplanina nie jest bez celu — mruknął Henryk — kto wie, czy nie będzie trzeba oddać im wszystkiego, co posiadamy.

— Niech tylko nie żąda za wiele, bo nic nie otrzyma — rzekł William — postąpiliśmy nierozważnie i teraz słusznie musimy znieść następstwa téj nierozwagi, byle tylko nie przechodziły granic sprawiedliwości.

— Doskonale mówisz! — szyderczo po swojemu mruknął Henryk — zapominasz jednakże, iż nie my tu podajemy warunki, lecz musimy je przyjmować. Zresztą dowiemy się zaraz wszystkiego. Murzyn wypowiedział swoje, Kongo zaraz to przetłómaczy. Wódz czarny żądał przedewszystkiem, aby dobrze zrozumiano, iż on, uwzględniając prostą pomyłkę, nie chce wcale być wymagającym; nie pragnął więc zemsty, żądał tylko wynagrodzenia szkody, która, jak dawał znowu do zrozumienia, była nieoszacowana.

Myśliwi tymczasem, znając się dobrze na koniach, nie wątpili, że owe zabite szkapy były nędzne i zmordowane długą podróżą, niechybnie więc

musiał je porzucić w drodze handlarz niewolników, ponieważ dalej wlec ich nie mógł za sobą.

Ale czarny wódz mówił znów do Kongo:

— Powiedz twoim panom, iż jestem dobry, i nie chcę żadnego innego wynagrodzenia, oprócz ich koni, broni, i amunicji.

— Co! — krzyknął William — mój koń i moja strzelba! nigdy w życiu!

Henryk niemniej wrzał gniewem. Widząc dobrze, iż dalsze umowy na nic się nie zdadzą, młodzińcy, nie mówiąc słowa, skierowali się ku swoim koniom, chcieli wskoczyć na nie i umknąć. Oczywiście murzyni sprzeciwili się temu zamiarowi, przyczem w zamieszaniu musieli zapoznać się nieco z siłą pięści Williama. Z dziesięciu rzuciło się na niego, aby mu wydrzeć broń, kilku też natychmiast legło na ziemi wraz z samym wodzem. William powstrzymał się jednak od strzelania, mogąc zabić jednego, a mając przeciw sobie całą gromadę.

Prawdopodobnie młody siłacz nie byłby wzięty żywcem, gdyby jeden z murzynów, chytrzejszy od innych, nie użył był podstępu. Ujawszy wielki kosz stożkowatego kształtu do łowienia ryb, zaszedł z tyłu i nakrył nim głowę Williama. Inni pochwycili zaraz ten kosz za brzegi, i wtedy dopiero młody olbrzym został przewrócony na ziemię i związany mocnymi rzemieniami ze skór zebry.

Henryk zaraz z początku walki otrzymał cios, który mu przytomność odjął, i wkrótce skrępowany został tak samo, jak jego towarzyszy.

Kongo nie należał wcale do walki, ale to nie ułagodziło przeciw niemu murzynów; związano go równie, jak jego panów.

Budząc się z krótkiego omdlenia, Henryk oszalał był z gniewu. Bo dla dzielnego człowieka niema sroższej katuszy, jak czuć się bezsilnym w obec napaści tak upokarzającej.

William, niemniej odważny, zwyciężony podstępem i liczbą, gdy bronił swęj strzelby, łatwiej się jednak uspokoił, był bowiem z natury mniej gwałtowny. Kongo, rzecz dziwna, patrzył obojętnie na pętanych tak srogo swych panów, okazując nawet pewną uciechę. Ale skrzywił się okrutnie, gdy i jego także związano. Młodzi jego panowie, słusznie takiem postępowaniem wiernego dotąd sługi zdziwieni, nie żałowali go teraz wcale, gdyż zaczęli go posądzać o niewdzięczność i chytrość.

XXVII.

Smutne myśli.

Związani więźniowie musieli być świadkami rabunku i podziału swęj własności. Największą część téj zdobyczy oczywiście pochwycił wódz, jako wy-

nagrodzenie za doskonałe swe konie, i za poturbowanie własnej szanownej osoby w walce z dzielnym myśliwym.

— Wszystko stracone, panie Williamie — mruknął Kongo — wszystko stracone, będziemy skazani na śmierć za to, żeśmy walczyli.

Kongo starał się następnie wyjaśnić swym panom, że gdyby nie czynili byli żadnego oporu, można było jeszcze odwołać się do Makory. Ale teraz wszystko przepadło, nawet dla samego Konga, który po to jedynie udawał pozory niewdzięczności i zdrady, aby ująć sobie nieprzyjaciół i zdobywszy swobodę dopomódz swym panom.

— Czy istotnie sądzisz, że nas zamordują, Kongo? — pytał William.

— Tak, panie — odpowie Kongo — teraz już nas nie wypuszczą.

— Ale jeżeli chcą nas zabić, dla czegoż nie czynią tego od razu? — pytał Henryk.

Kongo wytłómaczył im, że ci, którzy ich uwięzili, należeli do wędrownego plemienia Kafrów Zulusów, plemienia wojowniczego i nie lękającego się białych. Był to ten sam lud, który nakładał podatki na osady portugalskie północne. Kongo pewien był, że nigdy ci dzicy nie przebaczą zniewagi swego wodza, którego William rzucił o ziemię w obec wszystkich jego poddanych. Ten jeden czyn był dla wszystkich trzech wyrokiem śmierci. Zresztą białych ludzi nigdy się nie zabija w obec całej wioski, przez ostrożność, aby kobiety i dzieci nie wypaplały tego kiedy przed jakimi innymi białymi. Cała wieś oczywiście wie doskonale prawdę, ale mimo to, zabójstwo odbywa się w obec bardzo nielicznych świadków. Będą więc więźniowie zaprowadzeni w nocy o jakie dwie lub trzy mile za wioskę i tam dopiero zamordowani. Zabójcy opowiedzą za powrotem, że więźniów na wolność puszczono. W przekonaniu Konga, wódz nie zaraz miał zająć się więźniami, gdyż przedewszystkiem pilno mu było nacieszyć się rabunkiem.

Objaśnienia te dowodziły głębokiej znajomości zwyczajów ludu, który miał naszych myśliwych w swojej mocy, to też William i Henryk nie wątpili o prawdzie słów Konga. A przecież nie wyrzekli się jeszcze zupełnie nadziei. Mogła się zdarzyć jakaś przypadkowa sposobność ocalenia życia przynajmniej, bo o koniach i broni nie było już co myśleć.

Pod wieczór zdawało się więźniom, że już mniej pilnie byli strzeżeni. Ale napróżno silili się zerwać lub choćby rozluźnić pęta. Byli zanedo porządnie skrupowani przez wprawne w tej sztuce ręce ludu, który się w tym zaprawiał na własnych ziomkach, oddając ich tak spętanych europejskim handlarzom. Wieczorem już jeden murzyn zbliżył się do Wil-

liama i przyglądał mu się długo ciekawie. William patrzył nań także i zdawało mu się, że ten człowiek nie był mu zupełnie obcym, aż po dłuższem patrzeniu przypomniał sobie tego, którego ocalił od gniewu Makory; ten człowiek był to wygnaniec Sindol..

Młodzieniec zadrżał, nowa nadzieja go ożywiła. Ten dziki nie zapomniał zapewne, komu zawdzięcza, że jeszcze żyje, teraz więc zechce mu wdzięczność swą okazać.

William starał się dać mu do zrozumienia, iż go poznaje, chcąc tym sposobem przyspieszyć bieg sprawy. Ale ten zamiar się nie udał; murzyn oddalił się najobojętniej.

— To jest Sindol — rzekł Henryk — zdaje się być na najlepszej stopie z nieprzyjaciółmi, czyliż nam nie pomoże?

— Tak, to Sindol, ale nie rachujcie na niego — rzekł Kongo.

— Dla czego?

— Za mądry jest, aby się miał mieszać w cudze sprawy.

Mogło to być prawdą, Sindol raz już przez zdradę względem swego wodza naraziwszy się na śmierć, zapewne nie zechce się teraz narażać temu plemieniu, które wygnańca przyjęło do siebie. W taki sposób William wytłómaczył sobie obejście się Sindol. Sindol był niewdzięcznikiem odwracającym się od tych, którzy jemu w nieszczęściu dłoń zbawczą podali.

Całą noc więźniowie pozostawali skrupowani. Ranek nie przyniósł żadnej zmiany w ich położeniu.

— Cóż to znaczy? — pytał Henryk — co oni z nami zamysłają?

— Zaczynam się obawiać, czy Kongo nie ma słuszności — rzekł William — nic dobrego nas nie czeka; okradli nas, zrabowali, i pozostawili w więzach przez całą noc. To wszystko źle nam wróży.

— Ale czyliż będą śmieli nas zabić? — spytał oficer milicyi — jesteśmy białymi ludźmi, należymy do narodu, który nieraz skutecznie swych krzywd poszukiwał na krajowcach. Czyliż nie ulękną się następstw swęj zbrodni?

— I ja tak myślałem — odparł William — ale po takim obejściu widzę, że oni nie lękają się niczego.

— Panie Williamie — szepnął Kongo — wódz czyni to właśnie z obawy.

— Jeżeli tak, to w szczególniejszy sposób ją okazuje.

— Ja mówię, że on się lęka nas wypuścić, zginiemy panie Williamie — Kongo wyrzekł te słowa z głębokim przekonaniem.

— Czy to podobna, Henryku? Czy to nie sen przykry? — pytał William.

— Ja mogę ręczyć za siebie; nigdy w życiu mniej śpiący nie byłem — odrzekł Henryk. — Rzemienie przerynają mi ciało. Umrę od samego skrępowania, jeżeli to dłużej potrwa. Ale czy murzyni ośmielą się nas zabić?..

Więźniowie milczeli przez chwilę, rozważając przeróżne okrucieństwa popełniane przez Zulusów na osadnikach z Przylądka. Popełniali je pod grozą pomsty, której teraz nie potrzebowali się lękać; odległość od kolonii południowych zapewniała im bezkarność, a na lekkich Europejczyków z Północy nie mieli się przyczyny oglądać. Kongo miał podobno słuszność, trzeba było umierać.

XXVIII.

Bolesna droga.

Dzień znowu upłynął bez zmiany dla więźniów. Nikt nie zajmował się nimi, prócz kobiet i dzieci. Wódz z kilku towarzyszami przepędzał czas na strzelaniu do celu ze zrabowanych strzelb i na oswajaniu się z użyciem innych przedmiotów, zabranych więźniom.

— Na cóż oni czekają? — zawołał niecierpliwie Henryk. — Jeżeli mają nas zabić, niechże zabijają prędzej; wolę śmierć, niż te męczarnie, jakie muszę znosić.

— Prawda — potwierdził William — trudno dbać o życie wśród takich cierpień. Ale i niepewność jest jeszcze nadzieją. Pomyśl o tém, Henryku. Przez cały ten dzień nie widzieliśmy Sinda; jakże starannie ten niewdzięcznik się ukrywa przed naszym wzrokiem!

— Gdybyśmy nie potrzebowali przyjaciół, i on by się nas nie zaparł, ręczę — rzekł Henryk. — Ale mniejsza o to, ostatni to niewdzięcznik, z jakim mamy do czynienia na tym świecie podobno.

Nadeszła znowu noc. Niezwykły rozruch powstał między murzynami. Niektórzy biegali tam i sam z pochodniami, przygotowując widocznie coś ważnego. Konie osiodlano.

— Jak powiedziałem, uprowadzą nas teraz, aby zabić — mruczał Kongo.

William i Henryk patrzyli w milczeniu na to, co się działo. Coś ważnego gotowało się niewątpliwie, ale oni byli tak znękani, że wszelka bez wyjątku odmiana była im pożądaną.

Wódz czarny, siedzący na koniu Williama, ukazał się na czele dwunastu murzynów i udał się w stronę jeziora, przy którym zabite były konie. Więźniów wleczono za nim. Szukaj wraz z innymi psami szedł także, nie dzielając wcale strasznego niepokoju swych panów.

Orszak przebył wieś pomiędzy podwójnym rzędem starców, kobiet i dzieci. Wszyscy ciekawie przyglądali się więźniom. Więźniowie dziwili się, że się teraz tak zajmowano nimi, gdy poprzednio nikt na nich nie zważał. Zapomnieli, że ludzie wszelkich narodowości zazwyczaj okazują taką ciekawość, na widok skazanych na śmierć bliźnich... Wódz uzbroił się w strzelbę Williama i ciągle nią znów zajęty, zdawał się przygotowywać do jej użycia. Od czasu do czasu podnosił ją, jakby już mierzył do celu.

— Zapytaj ich, Kongo, gdzie nas prowadzą — rzekł Henryk.

Kongo zapytał jednego z murzynów, ale ten odpowiedział tylko głuchym mruknieniem.

— On nie wie, ale ja wiem — rzekł Kongo, tłómacząc owo mruknienie.

— Więc gdzież?

— Na śmierć.

— Kongo — rzecze William — zapytaj o Sinda. Któż wie, czy Sindo nie będzie mógł nas uratować? W każdym razie nie zaszkodzi spróbować. Jeżeli nie, to zrobię sobie tę przynajmniej przejemność, że go poróżnię z nowymi przyjaciółmi, wydając naszą starą z nim znajomość.

Kongo usłuchał, i zapytał o Sinda. Wódz to usłyszał, stanął i zadał mnóstwo pytań swym podwładnym.

— Wódz tak samo, jak i ty, panie Williamie, pyta o Sinda — rzekł Kongo.

Rozmówiwszy się ze swoimi towarzyszami, wódz z jednym z nich udał się napowrót do wioski i kazał całemu orszakowi czekać na siebie. Bawił z godzinę. Gdy powrócił, był wściekły z gniewu, wszystkie rysy miał zmienione, głos mu drżał. Kongo słuchał uważnie.

— On mówi o Sindzie — rzekł — grozi, że go zamorduje jutro.

— I owszem, niech dotrzyma obietnicy — mruknął William. — Sądzę, że obudziłem jego nieufność przeciw niewdzięcznikowi. Będzie ukarany. Czyliż nie powinien był próbować nas ocalić, choćby się znowu miał narażać na zmianę miejsca pobytu?

Udano się dalej w drogę. Wódz jechał na czele, obok niego po każdej stronie jechał murzyn z pochodnią w rękę. Gdy się znów zatrzymano, więźniowie poznali miejsce, gdzie ich pochwyciono. Wtedy wódz, zwróciwszy się do swoich, miał mowę, którą Kongo tłómaczył swym panom: Wódz mówił, że dwaj biali zabili umyślnie i złośliwie jego dwa konie, najdoskonalsze ze wszystkich koni na świecie, i że odmówili wszelkiego wynagrodzenia, że gdy on, wódz, chciał sam wziąć to wynagrodzenie, bronili mu tego siłą, i rzucili go na ziemię

w obec całego ludu. Następnie dodał, że zdaniem wszystkich starców pokolenia, biali za te zbrodnie zasłużyli na karę śmierci, i że on ich przyprowadził na miejsce, gdzie zbrodnię swoją spełnili, jako najwłaściwsze do odpokutowania za nie.

Wysłuchawszy tej mowy, myśliwi odpowiedzieli przez Konga, że jeśli wódz ich wypuści na wolność, to oni dobrowolnie pozostawią go w posiadaniu wszystkiego, co im zabrał, i że nigdy więcej nie wrócą go niepokoić w jego kraju. Obiecywali nadto jeszcze przysłać mu okup za życie. Wódz odpowiedział, że słowu białych ludzi nie można wierzyć; że zamiast przysłać mu okup, oni powróciliby aby się pomścić, a chcąc się od tego uchronić, postanowił odjąć im życie.

Od tej chwili nie mówiono już do nich więcej i nie słuchano, gdy oni mówili, ich stróże krzykiem zagłuszali każde słowo Konga, gdy ten usta otwierał. Tymczasem murzyni, otaczający wodza, przygotowywali się do wykonania wyroku.

D. c. n.

Notatki bibliograficzne.

Nakładem księgarni Konrada Prószyńskiego (Promyka) wyszły z druku następujące książki:

Marzenia Samotnika, poemat ziemiański przez Z. Gl... cena kop. 15.

Sad przy chacie, nauka sadownictwa dla włościan przez Edmunda Jankowskiego (Redaktora pisma „Ogrodnik polski“) cena kop. 15.

(Książeczka ta wiele bardzo pożytku może przynieść po wsiach; gorąco polecamy jej rozpowszechnienie czytelnikom naszym i ich rodzicom).

SZARADA (Rózia D.).

Trzecia-pierwsza: dzisiaj sioło,
Galilejski niegdyś gród.
Tam na godach, gdy wesoło
Zaproszony bawił lud,
Chrystus z Matką wszedł na gody,
I uczynił wino z wody:
To był pierwszy Pana cud.

Druga-pierwsza: mała rzeka,
Przez bosnijski kraj przecieka,
Gdzie chorwackich gór jest szczyt.
Wszystko: ukształca człowieka,
Daje wiedzę, sławę, byt.

Zamigłówka zgłoskowa.

(M. H. dla Józia w Iwańsku).

Z następujących zgłosek: ar—bo—bek—ce—cki—da—dy—dłu—dziez—i—ka—kra—ma—nie—nie—nec—o—o—perth—pium—res—sie—sław—za— ułożyć wyrazy: 1. Przestępstwo zabronione przez jedno z przykazań Bożych. 2. Narkotyk. 3. Sławny heraldyk. 4. Poeta polski żyjący. 5. Miasto w Szkocji. 6. Miejsce szczęśliwości. 7. Dawny książę kijowski. 8. Bogini mitologiczna. 9. Kronikarz polski. 10. Sławna flota hiszpańska. Pierwsze i ostatnie litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko dwóch poetek polskich.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

Zagadki:

Z gazet (z g—z).

Zamigłówki kryształowej:

	W				
	S	E	K		
W	E	G	R	Y	
	K	R	A		
		Y			

Odpowiedzi od Redakcyi.

Marynci M. w Żywotówce. Nie możemy pojąć, dla czego list 3 Czerwca datowany doszedł rąk naszych dopiero przy końcu tegoż miesiąca. Jest to jedyna przyczyna takiego opóźnienia odpowiedzi. Tęm bardziej nam to przykro, iż liścik jest ślicznie napisany i wielką nam sprawił przyjemność. Cioci serdecznie dziękujemy za tak trafne objaśnienia, co do korespondencji z naszą redakcją. Zwykle chłopcom podróże i nadzwyczajne przygody więcej się podobają od innych opisów, panienki mają gusta odmienne. Chcąc wszystkim dogodzić, staramy się Pismo nasze jak najbardziej urozmaicać. Oba braciom zasłamy ukłony, a małemu Tadekowi nie możemy zganić, że się troszkę dąsa, gdy Dodaiek nie nadchodzi w porę, bo ta niecierpliwosć kochanego naszego czytelnika jest dla nas bardzo pochwalebna.

Antosiowi H. Zamigłówka będzie drukowana w Dodatku, bo jest za łatwa dla starszych czytelników. Ależ czemuż to oprócz tej lamigłówki niema ani słóweczka w liściku?

Edziowi i Frani Kr. Zamigłówek wydrukujemy, oprócz 2-giej, która jest niestosowna do naszego Pisma z rozmaitych względów.

Stasi P. w Ekaterynostawiu. Z rozrzewnieniem odczytaliśmy liścik, tak pełen życzliwości dla nas i naszego Pisma. Osoby pracujące dla młodzieży, nie mogą doznać większej pociechy, jak wówczas, gdy widzą, że młodzież ta umie dobre ich chęci i usiłowania ocenić. Ojcu serdecznie składamy dzięki za przesłane śpiewki i przyrzekamy solennie że korekta będzie jak najstaranniejsza.

Pani Kurowickiej w Zinkowie. Historia oddawna wysłana pod adresem Pani. Jeśli zaginęła na pocztce, należy się upomnieć, a ostatecznie zawiadomić nas, abyśmy ją powtórnie wysłali. Żądany N-r wysłany.

K O B Z I A R Z

SŁOWA KUKUŁKI Z NAD BZURY,
Muzyka Dominika Stanisława Pawłowskiego.

Tempo di Mazurka.

bis
ff
Graj ko-bzia-rzu, masz trzy gro-sze, Graj we-so-ło,

echo
pp
bar-dzo pro-szę!

echo
pp
bar-dzo pro-szę!

ten. Moderato
Chciał-by ko-bziarz

molto rit.
a tempo
cres - cen - do di -
grać we-so-ło, Lecz mu tę-skno w du-szy, Więc tę-skno-ta ję-czy wko-ło,

mi - nu - en - do
mf
Gdy on ko-bzą ru-szy. Bo w da-le kim u-ro-dzo-ny Jest ten ko-bziarz kra-ju,

Do swej ni-wy w swo-je stro-ny, Tę-skni jak do ra-ju.

Dziatwa woła natarczywie
O wesołe granie,
Kobziarz marzy o swej niwie,
Gra jak na płakanie.
Więc rozbiegli się słuchacze,
Graniem tem znudzeni,

Kobziarz ciągle pieśnią płacze,
Wsparty o drzwi sieni.
Aż się graniem zmógł ponurem,
Ręce mu opadły,
I osunął się pod murem,
Tęsknotą wybladły.

Ktoś mu kazał odejść w stronę,
Lecz kobziarz był zimny;
Pękło serce roztęsknione
Do swej chaty dymnej.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.

OBŁOCZEK.

(naśladowane).

— Obłoczku mój malutki, śliczny obłoczku biały! powiedzno, gdzie ty tak śpieszysz? płyniesz i płyniesz po błękanie, uciekasz odemnie; poczekaj troszkę, obłoczku mały. Jak ty dziwnie wyglądasz i zmieniasz się co chwila, o! teraz taki jesteś ładniutki, zupełnie jak baranek z podniesioną główką.

Tak mówiła dziewczynka, patrząc przez okno na obłoczek. A obłoczek jej odpowiedział.

— Nie mogę się zatrzymać, bo mnie wiatr porwał i unosi z sobą.

A dziewczynka mówiła:

— Wietrzyku, mój wietrzyku, nie dmuchaj tak mocno, odpocznij sobie troszkę i pozwól obłoczкови się zatrzymać.

— Jabym chętnie odpoczął — odpowiedział wiatr — bo bardzo jestem zmęczony, już dziś napracowałem się nie mało. Musiałem przenosić i rozsiewać nasionka sosen i różnych innych roślin, dmuchałem w skrzydła wiatraków, co mączkę miewa, wysuszyłem dużo upranej bielizny, rozwieszanej na płotach. Teraz wypłynąłem z lasu, zdyszany cały i zobaczyłem ten obłoczek biały. On tam się musi nudzić, pomyślałem i uniosłem go z sobą, a teraz płyniemy razem.

— I gdzie ty go niesiesz, mój wietrzyku? — pytała dziewczynka, a wiatr odpowiedział:

— Czy widzisz tam daleko, gdzie słońce zachodzi, te śliczne obłoczki różowe? To są jego towarzysze, oni czekają na niego. Poniosę go aż do nich, a potem sobie odpocznę.

Słyszy to obłoczek i mówi:

— Dziękuję, dziękuję, grzeczny wietrzyku; cobym ja tu robił sam jeden, gdybyś mię był nie zabrał z sobą.

— Co ty robisz, wietrze! — wołała dziewczynka — już niema baranka, rozwiałeś mu główkę i nóżki; o, jaka szkoda! Ale obłoczek

zawsze ładniutki, teraz tak wygląda, jak ogromna kula śniegowa.

Wiatr dmuchał coraz mocniej: Wu-wu-wu-wu!

— A teraz jeszcze ładniejszy! — woła dziewczynka, klaszcząc w ręczki — rozplynął się po środku, po brzegach się wystrzepił, wygląda, jakby jakiś duży wianek z białych kwiatów.

Wianek zwęzał się z jednej strony, potem się rozerwał, obłoczek się wydłużył, nakształt dużej ryby białej.

— Śpieszmy, śpieszmy — mówi wiatr — musimy tam dopłynąć przed nocą.

— Bywaj zdrow, wietrzyku, bywaj zdrow obłoczku! — wołała dziewczynka, jak mogła najgłośnieję, bo już obłoczek był bardzo daleko.

— Do widzenia — odpowiedzieli wędrowcy i szybko odpłynęli.

Dziewczynka patrzyła długo jeszcze za obłoczkiem i widziała, jak przypłynął do tych innych, co na niego czekały, i zarumienił się



tak samo, jak one. Potém słońce ukryło się za wzgórzem, ściemniło się na dworze, Marynia zamknęła okno i spać się położyła.

— A ja nie wiedziałam o tém — myślała sobie, leżąc w łóżeczku — że wiatr tak musi pracować. Ja dziś taka byłam leniwa, tylko trzy druty zrobiłam w pończoszce. Żeby ja mogła wiedzieć, co ten różowy obłoczek tam robi? Czy on tak ciągle wędruje, od rana do nocy? Ej, chyba nie, bo mama mówiła, że wszyscy na tym świecie muszą coś robić. Musi to być bardzo przyjemnie tak pływać po błękitném niebie, dogonić słońce na zachodzie. Ach! wołałabym być małym obłoczkiem, niż ślęczeć nad tą pończochą...

I tak myśląc o wietrze, co tak pracuje i o obłoczku różowym, który także musi mieć jakąś robotę, dziewczynka nasza usnęła.

Już rano, Marynia przebudziła się i wstała z łóżeczka. Poszła do okna zobaczyć, czy ładna pogoda. O, nie, dziś już nie widać błękitnego nieba, przykryte całe szaremi chmurami, które wiatr coraz dalej unosi. Duże krople deszczu zaczynają padać, biją w okna z głuchym łoskotem. Jakaś dziewczynka idzie ulicą bez parasola, o, jak zmokła! Jedzie ktoś wózkiem odkrytym, i pan, i woźnica, nasunęli kaptury na głowy, koniki łby pospuszczają; one pewnie nie lubią moknąć na deszczu.

Ale otóż deszczyk ustaje.

— Przydał się bardzo w ogródku — mówi sobie Marynia — podlał dobrze moje kwiatki. Trzeba pójść zobaczyć, czy bratki popodnosiły główki.

— Dzień dobry! dzień dobry! dzień dobry! — odzywają się z różnych stron głosiki cieniutkie.

— A to kto mnie woła? — pyta Marynia, oglądając się dokoła.

— My, my, my! — wołają kropelki wody, błyszczące na kwiatkach, na listeczkach — to my byłyśmy w tym białym obłoczku, co wczoraj płynął po niebie. Wiatr dmuchał przez całą noc, nagromadził dużo chmurek, rozsunął je po całym niebie i widzisz, podlałyśmy ci ogródek.

— Oho! wiedziałam ja dobrze, że obłoczek ma jakąś robotę — rzekła dziewczynka — jakież on grzeczny, że przyszedł podlać mój ogródek.

A w tej chwili wiatr dmuchnął tak mocno, że wszystkie kropelki wody pospadały z listeczków i kwiatków na ziemię. Jedna

tylko została na różyczce, Marynia ją zerwała, zaniósła mamie i opowiedziała jej o białym obłoczku.

MĄDRY TYGRYS.

Tygrys straszny i zwinny, bez lwięj wspania-
[łości,

Choć nie głodny, morduje z dzikięj zjadłości.

— Wstydź się—rzecze mu człowiek—bierz ze
[lwa przykłady,

Na to tygrys:—Dla siebie schowaj swoje rady,
Jam tygrys! to mi ujdzie, choćbym wad był

[stekiem,
Ty bądź cnotą wspaniałą, bo jesteś człowiekiem.

KTO DRUGICH STROFOWAĆ RAD,

NIECH SIĘ WŁASNYCH STRZEŻE WAD.

Obrazek sceniczny w jednym akcie.

Dalszy ciąg.

CELINA.

Cóż to, Zofio, dla czego Emilcia płacze? Przecież rozumiesz, że kiedy ty jesteś boną, to panna Emilia musi być małą Emilcią, więc ją baw, żeby nie płakała; śpiewaj jej. Co? nie umiesz śpiewać? Śliczna mi bona, która dziecku zaśpiewać nie umie! Dajże mi Emilję i patrz, jak ja ją huśtam na kolanach i śpiewam, i naucz się; ach, jaki też to człowiek ma kłopot z temi bonami! (*śpiewa*).

Śpi Emilcia mała,

Mój różany liść,

Bo Mamaby chciała

Do ogrodu iść.

Czy słyszysz, Zofio? otóż tak trzeba śpiewać małej panience, aby ją uspić.

NIUNIA (*obrażona*).

Pani myśli, że ja już nawet zaśpiewać nie umiem panience; niechże pani posłucha: (*odbiera lalkę, siada z nią na krzesło i kołysząc na kolanach śpiewa*).

Dors donc ce soir,

Ma petite Emilette,

Nous irons voir

Les petites marionnettes...

CELINA.

Ślicznie! bardzo ładnie! widzę, że będę z ciebie zadowolona. Ale muszę ci zrobić jedną uwagę, moja Zofio, a to taką, że kiedy przyjechałaś tu do nas nad Wisłę, to wypada tobie nauczyć się śpiewać po tutejszemu. Nie dla tego wcale, żeby twój język był gor-

szy od naszego, bo wtedy któżby cię tu sprowadzał, ale dla tego, żebyśmy cię kochali gdy nam zaśpiewasz naszym językiem!

NIUNIA.

A pani myśli, że ja tego nie potrafię? to niechże pani jeszcze raz posłucha (*huśtając lalkę, śpiewa krakowiaka*).

Uśnij że mi uśnij, moja panienczko,
Bo tak Mama każe, moja Emileczko!
Wszak dobrze na Francuzkę.

CELINA.

Nieźle! Więc zostawiam cię z Emilcią, moja Zofio! Pilnuj, żeby się nie stłukła i żeby co nie zbroiła. Ja idę do Saskiego ogrodu; wrócę najdalej za godzinę.

(*Niunia bawi Emilcię, jak jej się spodoba, może powtarzać poprzednie piosenki. Tymczasem panie spotykają się na ławce w Saskim ogrodzie, przyszedłszy każda z innej strony*).

CELINA.

A, bon jour, jakże zdrowie? co u panisłychać?

TOLA.

Zdrowie, jak to u mnie, cierpię wiecznie na moję migrenę, zresztą kłopoty z domem, jak zawsze.

CELINA.

Ach, to tak, jak u mnie, z temi dziećmi, to okropność!

TOLA.

Jakże my też nieszczęśliwe jesteśmy, to straszne rzeczy!

CELINA.

Powiadam pani, że moje dzieci to zaraz płaczą, jak wychodzę z domu, chcą wszędzie bywać ze mną. Takie uprzykrzone!

TOLA.

To tak zupełnie, jak moje, ach, jakie my nieszczęśliwe!

CELINA.

Nawet posiedzieć dłużej w Saskim ogrodzie nie mogę, bo się lękam, żeby tam nie grymasiły i nie zrobiły sobie co złego. Do widzenia, kochana pani. Au revoir! Moje ukłony szanownemu mężowi!

TOLA.

Bardzo dziękuję! Au revoir!

(*ściskają się za ręce i kłaniają się, panie wyracają parę domiczek z kwiatami i rozchodzą się, przyczem wyraca się wodotrysk, to jest karafka z wodą. Tymczasem Niunia, bawiąc i huśtając Emilcię, powinna wyrzucić nią klatkę z kanarkiem. Panie wracają każda do swego domu*).

CELINA.

A to co? klatka z kanarkiem wywrócona. woda z kubeczka rozlana! panno Zofio, co to znaczy? kto tu tak nabroił? od czego tu jesteś?

NIUNIA.

To nie moja wina proszę pani; Emilcia uderzyła głową w klatkę.

(D. n.).

PRZYGODY KLARUNI

Opowiadanie przez Natalią Dygasińską.

(Dalszy ciąg.)

Strona to była znajoma jej kiedyś; nie wiedząc sama, jakim sposobem, powracała ona w toż samo miejsce, gdzie widać było błękitne wody jeziora, w którym żyła jako mała rybka, i czerwony dach dworu, gdzie tyle lat szczęśliwych spędziła, jako Klarunia, ukochana dobrych rodziców córka, z kąd nakoniec zły nałóg próżniactwa wypędził ją na takie po świecie przygody.

— Kto wie — westchnęła głęboko wiewiórka — może lepsza była sprawa z panią Miłoszową, aniżeli z okrutną kuną. Dziś nie ma rady, przyjdzie się zginąć, i ratunku już szukać nie mogę. Ach, szkoda!

Głód straszny dokuczał biednej wiewiórcie, w ogrodzie czerwieniły się piękne jabłka na jabłoni, z której niegdyś pełną ręką zrywała dziewczynka. Teraz biednej wiewióreczce bardzoby się chciało ich spróbować; skoczyła na parkan. Wspomnienie Mateusza ogrodnika, który nieubлагanym bywał dla wszystkich nieproszonych w ogrodzie gości, oziębiło nieco jej zapał. Lecz głód tak doskwierał, jabłka tak nęciły, posunęła się dalej, hop! jeszcze dalej i oto jest na jabłoni, może uchwycić najpiękniejsze jabłuszko i spożyć je z chciwością.

Udało się wiewiórcie. Ogrodnika nie widać wcale. Może on nie bywa w tej stronie ogrodu, pomyślała uradowana, i zaczęła upatrywać miejsca dogodnego na rozgoszczenie się stałe. Wkrótce zadowoliła się wiewiórka w znajomym ogrodzie. Usłała sobie gniazdo między konarami wielkiej gruszy, rosnącej nad jeziorem i tam zamieszkała. Pamiętając zwyczaj starego ogrodnika, strzegła się wychodzić na żer w godzinach, w których on po ogrodzie pracował, lecz żyjąc w takich obawach, nie uważała się już za szczęśliwą.

Dnia jednego, kiedy siedziała pomiędzy liśćmi gruszy, ujrzała swego Ojca, jak smutny zbliżył się i usiadł na ławeczce, pod gruszą stojącej. Wpatrując się w to drogie oblicze, wiewiórka uczuła, jak się jej serce ścisnęło na widok bladej i wielkiego smutku rozlanego w tych rysach.

Po niedługiej chwili nadeszła siostra Ojca, owa ciocia Klaruni, która sprowadziwszy panią Miłoszową, taki wpływ na życie dziewczynki mimowoli wywarła.

Zaczęli rozmawiać oboje na ławeczce, lecz wiewiórka nie mogła zrozumieć co mówili, bo zapomniała języka ludzkiego, i myśli też swoich wytłómaczyćby nie potrafiła; chociaż mogła jeszcze czuć i myśleć, jak dziewczynka. Widziała tedy, jak Ojciec lży ocierał, wskazując ręką na jezioro, i domyśliła się, że opowiadał siostrze o stracie ostatniego dziecka, o którym sądził zapewne, że tu utonęło. Odeszli po chwili, a wiewiórce strasznie smutno i ciężko się zrobiło. Cóżby teraz dała, gdyby jej wolno było rzucić się na szyję ukochanym rodzicom, jakąż ofiarą radaby okupić swą lekkomyślność...

Czyż ta swoboda i niezależność, jakiej zazdrościła zwierzętom, dały jej rzeczywiste zadowolenie? czyż w istocie stworzenia, których losu próbowała, używają tej wolności tak nieograniczenie?... Wszakże do każdego stanu przywiązanych jest tyle trudów i przykrości; na każdej drodze i każdy z przeciwnościami walczyć musi — zwyciężać je, lub ginąć.

Małeńkie zwierzątka tak samo, jak i człowiek, król stworzenia, mają swe troski, niepowodzenia i boleści.

— Zbłądziłam bardzo, zbłądziłam — szepotała w duszy...

W téjże chwili pokazał się ogrodnik, badawczo spoglądający po drzewach. Dostrzegł on od pewnego czasu szkód pomiędzy owocami zrządzonych ostremi ząbkami wiewiórki, a chociaż jej jeszcze nie mógł wypatrzyć, przecież postarał się, aby przedsiębrać stosowne na szkodnicę środki.

Wiewiórka, ujrzawszy jego zabiegi, tak się przestraszyła, że straciła równowagę i spadła z gałązki na ziemię, a stary ogrodnik ucieszony podskoczył, aby ją złapać. Uratowała się przecież jeszcze, sunąc co żywo na drzewo i zmykając do góry. Widziała jednak nieboga, jak się gotował do oblawy,

rozstawiał żelaza w około, i zrozumiała, że ujść mu będzie niepodobieństwem, zwłaszcza, gdy przywołał psa swego Azora, i nakazał mu stróżowanie pilne pod gruszą, a sam udał się po tyki, do spłoszenia wiewiórki.

— Ach — usiłowała zawołać ludzkim głosem nieszczęśliwa — nie gub mnie!... — Lecz tylko pisk przenikliwy wyszedł z jej pyszczki. Zwróciła oczęta w stronę jeziora:

— O pani, o wieszczko! — błagała w myśli — przebacz, uratuj mnie, powróć dawne istnienie; naznacz jaką chcesz pokutę, tylko mi wróć dawne życie, dawną ludzką postać...

Wtedy wśród jeziora zaszumiło, jak niegdyś, wypłynęła świetlana postać czarodziej-skiej władczyni, i ozwała się uroczyście:

(D. n.).

Zagadka.

Ma biczyk, ma konika,
Woła: wio! i bryka;
Kocha Tatkę i Mamę,
Jadłby ciasteczka same.

Kłania się, gdy kogo znajomego spotka:
Proszę mi powiedzieć, co to za istotka?

Łamigłówka zgłoskowa.

(Władysław O.).

Z następujących zgłosek: cet—ców—cza—das—il—jéj—kam—kra—men—mi—na—ni—oj—o—pał—so—ski—tes—tka—u—za—ułożyc 9 wyrazów: 1. Król mitologiczny. 2. Ciecz kwaśna. 3. Imię. 4. Jezioro. 5. Poeta polski współczesny. 6. Mędrzec starożytny. 7. Uczucie szlachetne. 8. Półwysep w Azji. 9. Piękna miejscowość w kraju naszym.

Początkowe i końcowe litery, z góry na dół odczytane, utworzą nazwisko i imię znakomitego muzyka.

Rozwiązania do Nr. 25-go

Zagadki.

R a k.

Łamigłówki kryształowej:

M
P A W
M A L T A
K T O
A